Nr. 49. We Lwowie dnia 3. grudnia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Nowe prądy w Czechach.

Stosunek Polaków do Czechów jest jedną z najważniejszych kwestji dla społeczeństwa naszego pod zaborem austrjackim. Pominąwszy już t. zw. »wzajemność słowiańską«, o której tak dużo się pisze, a dla której tak mało się czyni, stosunek Polaków do Czechów jest ważną sprawą praktycznej polityki naszej w Austrji. Rzecz jasna, że dopóki w parlamencie wiedeńskim nie będą zasiadali rzeczywiści przedstawiciele narodu polskiego, nie może być ani mowy o jakiemś wspólnem działaniu politycznem z posłami czeskimi. Zanim to jednak nastąpi, powinniśmy bodaj teoretycznie rozstrzygnąć kwestję naszego stosunku do Czechów, ażebyśmy w chwili odpowiedniej mieli całkiem jasne pojęcie, z jakimi Czechami możemy iść ręka w rękę, w którym z obozów czeskich mamy szukać sprzymierzeńców. Musimy przyznać, że nie mamy jeszcze w tym kierunku wyrobionych poglądów. Że z partją młodoczeską, reprezentowaną przez »Narodni Listy«, które zajęły względem nas stanowisko godne »Moskiewskich Wiedomostiej«, nigdy się nie pogodzimy, to rzecz całkiem zrozumiała. Polityka pp. Waszatych et Co. takim wstrętem przejmuje społeczeństwo nasze, że nawet demokratyczniejsza część jego woli stańczyków czeskich — staroczechów (np. pismo niewątpliwie demokratyczne, jakiem jest »Ateneum«, zamieszcza obskurne ględzenia staroczecha p. Gablera). Tymczasem nie potrzebujemy ani godzić się z Waszatymi, ani sympatyzować z Riegerami, gdyż w Czechach istnieje już dość silny prąd, który niewątpliwie w niedalekiej przyszłości doprowadzi do wyłonienia się nowej, dla nas nader sympatycznej, postępowej partji.

O ruchu postępowym mało dotąd u nas wiadomo, a prasa nasza, czerpiąc wszystkie swe wiadomości o słowiańszczyźnie z... *Neue Freie Presse*, utożsamia postępowców z omladinistami, nieledwie nie z anarchistami. Otoż w notatce naszej chcielibyśmy zapoznać czytelników »Tygodnia« bliżej z tym ruchem, kreśląc — głównie na podstawie broszury, która się niedawno ukazała — dzieje i program tej młodej grupy*.

W drugiej zaś części artykułu chcielibyśmy podać charakterystykę prądu postępowego współczesnej literatury czeskiej.

I.

W maju r. 1889 ukazał się w Pradze pierwszy zeszyt dość bezbarwnego pisemka »Czasopis czeskeho studenstwa«, które podjęło zadanie reformowania młodzieży uniwersyteckiej, wytykając jej wady i wskazując drogi intelektualnego rozwoju. Ale już w lutym roku następnego redakcja oświadczyła, że chce prowadzić pismo w duchu wolnomyślnym i postępowym, dbając o to, ażeby młodzież poznawała życie społeczne narodu, brała w niem udział i miała swój program polityczny. Obok spraw czysto studenckich »Czasopis« poczyna uwzględniać i inne kwestje, jak n. p. kwestję inteligentnego proletarjatu i kwestję kobiecą, a dalej poczyna krytykować politykę obu stronnictw czeskich i wytykać braki ich programów. Około »Czasopisu« skupia się dość liczne grono młodzieży, które przyjmuje nazwę stronnictwa postępowego. W r. 1891 pięciu mężów zaufania zwołuje zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej do Pragi; w lutym tegoż samego roku urządza z powodu zbliżających się wyborów do parlamentu walny wiec młodzieży uniwersyteckiej, w którym biorą udział i przedstawiciele komitetu wykonawczego stronnictwa młodoczeskiego, posłowie: dr. Engel i dr. Kuczera. Zgromadzeni uchwalają rezolucję, żądającą, ażeby posłowie młodoczescy zajęli w parlamencie stanowisko bezwzględnie opozycyjne, ażeby wszelkimi środkami dążyli do odzyskania czeskiego prawa państwowego, weszli w sojusz z posłami południowo-słowiańskimi tegoż samego kierunku, połączyli się z morawską partją ludową, starali się wywalczyć uniwersytet czeski w Bernie morawskiem, zdobyć powszechne prawo głosowania i t. d. Zgromadzeni żądają prócz tego, aby młodoczesi uwzględnili potrzeby klasy robotniczej i starali się o skrócenie dnia roboczego i o pod-

* List z najnoviejszi historie vnitrzniho naszeho politického života. Napsal Dz. D. M. V, Chrudimi 1894.

wyższenie płacy. W maju 1891 w Pradze odbył się zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej, a jego czeska sekcja postawiła żądanie prawa państwowego czeskiego i unji personalnej z innymi krajami, w skład państwa austrjackiego wchodzącymi. Obok czynności politycznej postępowców, występuje też i literacka, która się objawia przez wydanie kilku przekładów rzeczy beletrystycznych i naukowych, tudzież broszur politycznych. Powoli postępowcy wchodzą w stosunek z robotnikami.

W r. 1892 już całkowicie był gotów program stronnictwa postępowego, a jego prasa wzmogła się znacznie. Do młodzieży uniwersyteckiej przyłącza się młodzież kupiecka (subjekci) i część robotniczej. Pierwsza wydaje »Czasopis pokrokoveho studentstwa«, druga »Viestnik obchodni omladiny czeskoslovanske«, a trzecia »Pokrokove listy«. Oprócz tego stronnictwo wydawało tygodnik »Neodvislost'« i dwutygodnik »Nowe proudy«.

Proces »Omladiny« zadał młodemu stronnictwu cios bardzo dotkliwy. Czterej jego główni przywódcy: Hajn, Raszyn, Sokol i Szkaba znaleźli się w więzieniu. Stan wyjątkowy zmiótł trzy jego organy (»Neodvislost'«, »Nove proudy« i »Pokrokove listy«). Nie zabiło to jednak stronnictwa. Znalazły się młodsze siły, które dalej prowadzą przerwaną pracę w tym samym duchu i prowadzą ją ze zdwojoną energją.

L. Wasilewski.

Z księgi ofiar.

(W rocznicę rzezi krożańskiej).

(Dokończenie).

Ginęła w Litwie nuta po nucie
O bohaterskim wodzu Narbucie,
Co w puszcz przedarłszy się dziewicz,
Z poza dębowych bronił się szańców:
Ten wódz — jak żubr litewskich powstańców.
A drugi, ksiądz znów Maćkiewicz,
Co przypasawszy miecz na atłasie,
Na stule nosił go, jak na pasie,
I kropił mieczem jak wodą.

Miałyżby zginąć one bez wieści,
Karmiące naród przez lat trzydzieści
Te piosnki, wonne swobodą
I kraśniejące na tle, na ciemnem,
Podobne leśnym kwiatkom nad Niemnem,
Rosnącym w ciszy nad wodą,
Ukrytym w gąszczu, małym, tak prawie,
Że ich nie chwycić kosą na trawie
I bydłu wziąć je na zęby
I wiatrom trudno zmiatać z pod nogi.
A! one jedne pośród pożogi,
Do chat się cisły na zręby,
W litewskich domach wonią jałowców
Przypominały przeszłość z grobowców,
I zapach miały żywiczny,
Że lżej i piersi było okutej
Odetchnąć wtedy, wiedząc, że tutaj
Ten łańcuch nie jest dziedziczny.

Graj liro piosnek! graj oceanem
I fal, i burz, i łez nie przerwanem,
Byle nie w ciszy, bez marzeń,
Co rdzą ci struny zdolne przejadać,
Abyś nie mogła z kart opowiadać
Dalszego ciągu tych zdarzeń.
Przemieniaj struny na wiatr, jak grywa,
Chwytając dalsze, nowe motywa,
I jak ten łańcuch bez końca,
Tak i ty swoje przewlecz paciórki
Przez wszystkie rany, ciernie i chmurki,
Podobna tutaj do słońca,
Którego ciepło starczy na dobę,
Na jednej tylko nocy żałobę,
Dla drugiej musi wstać z ranku —
Tak ty wygrywać musisz wciąż z fletu
Narodowego hasło odwetu,
We krwi, czy w łzach bez ustanku.

To też i Kroże, kładąc daninę,
Rozpięły tylko strunę jak linę,
I jęk się rozszedł w gonitwie,
I drzewa drzewom niosły przez pola
Ten hymn, co nucił ludziom: niewola!
Niewola dzisiaj na Litwie!
Mordują naszych sromotnie.
O! zmiłuj się...

Kozaków trzy sotnie
Do szturmu poszło, jak w taniec.
Naprzód ich wódz, kapitan Siemianów,
Prowadził armję trzystu gałganów
I pierwszy darł się na szaniec
Bezbronnych piersi. Białe koszule
Bagnety drą na wylot i kule
Malują już na czerwono.
Tak w mur, gdy ostrzem kilof pociśnie,
To cegły wnet wychodzą jak wiśnie
Pod białych tynków osłoną,
Lecz mur nie runie. Jeno się bardziej
Skupili ludzie jeszcze i hardziej
Zaczęli stawiać Moskalom;
Bo kiedy ginąć mamy — ktoś rzeczy —
To niech i krew moskiewska pociecze:
Więc bijmy, kiedy nas walą.
I pierwszy młody Norbert Władyka,
Ująwszy w garść kawałek krzemyka
Pocisnął nim, aż zawyło.
A zanim wnet i młodzi i starzy
Przystawać jęli do tych procarzy,
Bo innej broni nie było.

Jak rzeka, skoro pęknie pod lodem,
Tak i tu bukło między narodem:
I zamięszanie i zator,
Szczęk broni, świst nahajek, kamieni,
A wszystko jakby z jednych strumieni
Płynęło w świat.

Gubernator
Von Klingenberg, kowieński satrapa,
Którego bicz i niedźwiedzia łapa
Głaskały nieraz po skórze
Jagnięcy włos z litewskiej owczarni,
Na boku stał, jak Cerber tej psiarni,
I bokobrody darł duże
Ze złości, słysząc, skoro od dzieci
Umierających głos go doleci:
»Rozbójnik, łotr! nie naczelnik«...
Więc wydał rozkaz: »w siejczas« konnicą
Oczyścić z chwastów plac przed kaplicą
I w dyby związać, jak zielnik,
Tych miateżników!

Szczękły kopyta,
Zarżały konie w pędzie i płyta
Kamienna w snop się już krasi,
Od iskier, jakie sypiąc w galopie
Wykrzesi każdy koń i wykopie,
Zanim je we krwi ugasi.
Tu koń, rażony końcem ostrogi,
Już dęba stanął, obie swe nogi
Na czyjeś cisnąc ramiona,
O! niby w ręce ujął matczyne
I zgniótł go, i złamał, jak trzcinę,
I parsknął, widząc, że kona.
Tu znowu drugi: w piersi lub głowy
Tępe sztylety wbijał podkowy —
I jak maczugą, tak trzaskał.

Zdołano wreszcie dotrzeć do progu.
U wejścia kozak strzelił z batogu
I mego ojca pogłaskał
Po plecach końcem swego bizuna,
Że jęknął, jak pod smyczkiem ta struna,
I zamiótł puklem swych włosów,
Jak srebrnolistną miotłą brzozową
Kamienny próg kościelny — swą głową,
A krzyż pękł w trzaski od ciosów.

Najdłużej lud się trzymał w obronie
Tuż przy dzwonnicy samej, przy dzwonie,
Zkąd ta spiżowa muzyka
Ku niebu szła rytmicznie, wymownie;
Aż jęknął dzwon — i umilkł raptownie...
Zabito pewnie dzwonnika!
Tak, zginął stary Józef Kołowrus,
A do ostatka trzymał ten powróz
Tak silnie w garści przez dreszcze,
Że gdy go kozak ciął swym tasakiem,
To mu odcięta ręka jak hakiem
Trzymała liny się jeszcze,
I tak została przy niej do rana,
A chwiejąc się, wiatrem kołysana,
Dzwoniła jemu za duszę.
Aż sprawnik kazał odjąć od liny
Skostniałą rękę, niby z drzewiny
Zielonej uschłą już gruszę.

Staliśmy właśnie w miejscu, gdzie sznurki
Spadały nadół z wierz sygnaturki,
Toż skoro umilkł dzwon wielki,
Zaczęli ludzie wołać na froncie
I z tyłu na nas: dzwońcie-no! dzwońcie!
Więc pochwyciłem za szelki
I trząść zacząłem nimi, aż dzwonek
Ozwał się w górze wnet, jak skowronek
Szczebiocąc cicho, milutko;
Że byłbyś pewien, że tam ze złota
Ptaszyna jakaś skrzydłem trzepota,
Po falach płynie i łódką
W bałwany trąca...

W tem się ku przodu
Zaczęła cisnąć masa narodu
I napierano tak w tyle,
Żem musiał puścić sznurek i w nawę
Za wiatrem iść szarpiącym tę trawę
I ludzi, tak jak badyle.
W popłochu, z krzykiem, z płaczem, przekleństwem,
Na rękach matki z dziećmi, z maleństwem,
Szukały jakby uchroni
Grzechocąc w mury, czy gdzie czasami
Nie znajdą nory, gdzieby przed psami
Mogły się ukryć w pogoni.
A inne znowu zaczną się w skrusze
Spowiadać z grzechów głośno, i dusze
Na śmierć polecać już Bogu.

Więc spojrzę ku drzwiom... Boże wszechstronia!
Wszechświata!... krzyknę, widząc — łeb konia
We drzwiach kościelnych na progu;
Na nim kozaka z szablą, w kaszkiecie,
Tratującego już po kobiecie:
A siekł i z przodu i z boku.
Gdzie matka moja?... Sercem matczynem
Nie pożegnawszy nawet się z synem,
Zginęła z ócz mi w tym tłoku.

Podobno w Świętej patrząc koroną
Mówiła do Niej: »Pod Twą obronę«...
Kulików głosem i czajek;
I w tejże chwili — wpadli — za włosy
Siepacze wzięli ją w Twe niebiosy
Na skrzydłach niosąc nahajek.
Widziała jeszcze... z białym obrusem
Jak ksiądz uchodził z Panem Jezusem,
Niegodzien Jego iść śladem.
O! ale zato, obok koło niej,
Padały kłosy podobne do niej,
Sieczone wichrem i gradem.

Tu starzec bity wciąż przez deńszczyka
Biczowanego Nazareńczyka
Z ran przypominał zodjaku,

Aż jednym, zda się, cięty pokosem,
Z liliji białej stał się tym kłosem,
Czerwonym kłosem — by maku,
I runął... Owdzie znowu chłopczyna
Wyprostowany, wiotki jak trzcina,
Stał niemy, patrząc nieswojsko,
Bo nawet słowa nie znał z modlitew:
I tego wiatr zmiótł — i z pola bitew
Jak łupy zabrał, nie wojsko.
I te kościelne babki, matule,
I Weronikę śmierć i Urszulę
Zabrała razem do dołu,
Tak jak tu razem zawsze staruszki
Różaniec pletły swój, i zaduszki
Swe odmawiały pospołu.
Tę nawet jejmość skłuto bagnetem,
Co z najjaśniejszym stojąc portretem
Pod pieczę kryła się łuny,
Nie wiedząc, że ten obraz okuty,
Jak z chmur lecące gromy przez druty,
I na nią ściągnie pioruny.
»Ho! hurra! hurra!« Z hukiem, z łoskotem,
Różańcem razów bije jak młotem
O przęsła starej świątyni,
Że aż się zatrząsł sufit u stropu,
Gdzie, niby w arce tej, wsród potopu
Łez, tarczę kładli Litwini.

A teraz, Panie! wznosząc źrenicę,
Co ujrzą w górze? — z łask twych przyłbicę,
Faraonowe znów knuty!
Zwątpienia owoc siejesz po świecie:
W łzach się ludzi stroi on w kwiecie,
Aż w żar dojrzewa pokuty.
W tej kaktusowej walce stuletniej,
Kwiat, co wystrzelił, zdmuchnij, lub zetnij —
Lecz daj mu liście, nie kolce;
Inaczej będzie rosnął i świeży
Zapuszczał korzeń w sercach młodzieży
I w wąż obwijał pierś Polce.

W litewskim, starym przecież kościele
Zakwitła róża, a nie to ziele
Nieznane jeszcze Krożanom.
Gdy męczennikom brakło już w łonach
Tych sił — to serca pękły we dzwonach
I tchu nie stało organom.
I zmilkło naraz w całym kościółku;
Bo przeszedł anioł śmierci po pułku,
Po całym chórze aniołów:
Tych najwierniejszych, o! tych bez skrzydeł,
Co by tu mogły rwać ich ze sideł,
A nieść, gdzie zdobycz i połów.

Jaskółka tylko czasem o sklepy,
Potrąci końcem czarnej swej krepy,
O szyby z lęku zadzwoni.
Gdzie białych ścian się dotknie skrzydłami,
To krwią poświęci je, nie poplami,
Z kropielnic pełnych koło niej.

Wśród takiej ciszy, o! i w te głusze,
Że wzlatujących ofiar tych dusze,
Wzlot, posłyszałbyś jak ptaków:
Padł trzaskający odgłos komendy.
Stanęła naraz, frontem, w dwa rzędy,
Całutka sotnia kozaków.
Z jańczarskiej pewnie jakiejś kapeli
Sygnałem trąbka pułki te dzieli,
I gra... i gra tak bez końca...
O! jeszcze w uszach słyszę tych tonów
Piekielny zgrzyt — jak kościanych dzwonów
O szklanne serce u Dońca.

W żelazne, młotem, dzwoniąc skorupy,
Pozakuwali żywych i trupy —
Już wloką ich z katakomby...
A lud się pyta: czy już nadchodzi
Sąd Ostateczny, bo tak ich zwodzi
Straszliwy odgłos tej trąby.

Mój ojciec raz się potknął na ziemię,
To mu nahajką dano to strzemię,
A drugim razem — ostrogą.
I szli tak, milcząc, wszyscy jak trusie,
Podobni Tobie Panie Jezusie,
Gdyś na Golgotę szedł drogą.
I oni także idąc tym szlakiem,
Poobsiewali w dywan go makiem,
Gdzie dłużej stali — w zagonik.
I pot im także ściekał w oparze,
Że można było odbić te twarze —
Nie było jeno Weronik,
Bo jak się jedna z tych bolejących
Zbliżyła matek, pragnąc do drżących
Ust syna kubek przycisnąć:
To ten ze straży — nie cyrenejskiej!
Sam wypił wodę, a jej »złodziejskiej —
Jak mówił — babie« dał pisnąć.
Jęknęła z bolu tylko i rzekła:
»Niechby ci pić podano do piekła
Za tę usługę tatarską!«
. . . .

Skazano wszystkich... Mój na ostatku:
Na Sybir, knuty, o! i w dodatku
Na łaskę, łaskę tę — carską!...

Stefan Komornicki.

To co Nikita opowiadał.

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).

Księżyc wstawał dnia tego późno, około godziny dziewiątej; czekaliśmy go na ganku jako gościa, o którym się wie, że robi zawsze zajmujące, nawet świetne wrażenie.

Z ganku, daleki widok, na otwartą okolicę, zarosłe leszczami jary, na wzgórza w lekkim tumanie mgły.

Z jednej strony nieba, noc była czarna, jak ciężka opona, spięta kilku złotemi gwiazd szpilkami, z drugiej, zielonawo-mleczne falowały pasy, coraz jaśniejsze przy ziemi, coraz bardziej rozdmuchnięte ku zenitowi.

Naraz tuż w trawie, w krzakach, błyskać zaczęły srebrne, jaskrawe strzały, pięły się potem po liściach zarośli na drzewa, aż wkońcu, w gęstwinie, jak olbrzymia anemona rozkwitnął księżyc w pełni.

Czarna strona nieba stała się błękitną, a ta, skąd miesiąc wyszedł, zalała się morzem sinawych, elektrycznych półcieni. Na wzgórzach odrazu zaczęło się fantastyczne igrzysko mglistych widm, postaci, mar, które wstawały nagle ożywione światłem, a potem, podawszy sobie ręce, rzucały się na oślep w jar i nikły w jego ciemnościach. Czasem jedno takie zjawisko odlatywało w bok ku ciemnej stronie widnokręgu, ale jakby wystraszone swą samotnością w mroku, przysiadało na roli, kładło się w bruzdach między zbożem. Czasem powiewna postać wzniosła się w niebiosa, zajaśniała jaskrawo śnieżną szatą ponad stepem i przepadła. Wiatru nie było żadnego, wielka, letnia, lipcowa pełnia trzymała świat jak w oszkleniu, a ten łagodny powiew co jak tchnienie zaledwie szedł przestrzenią, wydawał się raczej szelestem kroków miesiąca, który po niebieskim dywanie chodzi tak cicho, ostrożnie, byle nie zbudzić nikogo ze snu, z marzeń, z przyciszonej boleści.

Każdemu z nas zdawało się, że ten księżyc wstał dla niego przedewszystkiem, to też w głębokiem milczeniu każden pił ze wspaniałego puharu, nachylonego ku ziemi, treść taką i tyle, ile mu było w onej godzinie potrzeba.

— Chłodno się robi, dziesiąta, dobranoc!

— Jakto, już? Ależ to niepodobna iść spać teraz, kiedy się taka cudna scena rozgrywa na niebie.

— To chodźmy się jeszcze przejść na drogę — rzekła panna Alina.

— Naturalnie! pójdziemy do żniwiarzy, którzy dziś przy jasnej nocy proso zbierają.

— Trzeba im coś zanieść.

— Zabierzemy.

— Same panie nie pójdziecie, może się trafić włóczęga lub jaki pies zły.

— Nikita pójdzie z nami i weźmie piwa dla ludzi.

— Do widzenia — i już jesteśmy na drodze.

Teraz dopiero widać go było wybornie! Ogromny, srebrny, płonący, leżał jeszcze na ziemi prawie, jak pyszny, zapomniany skarb wielkiego wezyra, który umknął z porażki.

Gościniec był zasłany niby białym atłasem, pełno śnieżnych smug leżało na polu, odcinając się od głębiej wydeptanej miedzy, w kilku miejscach, gdzie stała woda po niedawnym deszczu migotały jakby źwierciadła, jakby tarcze, a każde drzewo przy gościńcu miało za sobą długą, czarną togę cienia a na wierzchołku hełm połyskujący. Swierki tylko i jodły naprzemian sadzone przy drodze z drzewami liściastemi, nie przyjmowały nic w siebie z księżycowej łaski, stały zamknięte w sobie i nieprzystępne.

Szliśmy powoli, woń zbóż, lipy i kwitnącego maku słodziła powietrze, okolica rozwijała się szeroko. Tam, za nami, zostało ciemno-szafirowe niebo nad Żabokrzyczem, Sokołówką i Krzyżopolem, przed nami wstawał księżyc nad Czarnominem i daleką dość Kodną.

— Nikita!

— Słucham.

— A gdzie ta droga prowadzi, tam, na te wzgórza, ponad jarem?

— A, to do Piszczanki, gdzie jarmark był wczoraj.

— W której stronie ta sławna Paliowa ścianka?

— To gdzieindziej, tam, hen na prawo gdzie ta topola stoi.

— Dlaczego to się tak nazywa?

— Bo tam był rozbójnik Palij, skarby schował, dotąd szukają ludzie.

— A znaleźliż co kiedy?

— Eh ni, szkoda czasu, to dawno, a niewiedzieć, gdzie ukryte.

— A na lewo tam, za tym zrębem, co tak równo ścięty?

— Tam, najwpierw, zaraz za górą, druga część nowej wsi, Słoboda.

— A wasza chata gdzie?

— Moja? A, moja, z tej strony, w samych Popieluchach, między Rakową ścianką a ogrodem. A tam, za Wytrybniką, to znów droga do Olgopola, a tam trochę w bok to Miaskówka.

Księżyc podniósł się; był tak jaskrawy, że prawie olśniewał, czuć było jego światło na oczach i czole, nieledwie grzał promieniami, a przynajmniej działał kojąco na myśli, kołysał, pieścił wyobraźnię. Cała ta kraina, leżąca na słynnym Szpakowym szlaku ożywiała się pod działaniem wielkiego magika, który promieniami swymi wyczarowywał z pod ziemi wspomnienia, widziadła, strachy. Zbite po pagórkach laski wyglądały jak hufce, czekające ataku, małe krzaczki gęsto rosnące w jarach, jak czambuł tatarski, który przypadł do ziemi i nasłuchuje, a tu i tam biała brzoza z rozwianemi gałązkami ku jednej stronie, jak rycerz w srebrnej łusce, trzymający na wietrze chorągiew.

Z lasu, przy drodze, sterczały miejscami wyrzucone pnie drzew starych, rosochate, mchem pokryte, z wykręconemi korzeniami, jak ramiona wyciągnięte w rozpaczy, niby potwory, gnomy czy wilkołaki. Miesiąc płynął cichutko, bez przeszkody i było chwilami niewypowiedzianie miło i pięknie; lecz gdy chmurka otumaniła mu głowę

turbanem, ogromny mrok spadał nagle na ziemię, zaraz się słyszało wycie psa przeraźliwe i coś trzaskało w gęstwinie, coś mijało nas niby ostrożnie i zatrzymywało się o kilka kroków tak, że trzeba się było obejrzeć. I znów raptem miesiąc lunął światłem, odwikłał czoło z zawoju i szedł dalej promienny.

— Nikita!

— Słucham.

— A kto u was w chacie gospodaruje?

— Wszyscy.

— Jakto? to nie musi dobrze iść, kiedy wszyscy gospodarzą?

— Dobrze idzie? A, bo każdy robi swoje.

— Dużo was jest?

— Ojoj! gromada! Rodzice i jedenaścioro dzieci.

— Prawda że to chmara! A wszystkie w domu?

— Oprócz trojga, wszystkie.

— A tych troje gdzie?

— Ja najstarszy, mam dwadzieścia pięć roków, służę za kozaka we dworze. Drugi z rzędu Hryhor, z furmanką jeździ, drzewo wozi, albo buraki do fabryki w Czarnominie, albo paki z koleji, zawsze zarobek ma; raniutko o trzeciej, czwartej se pojedzie, a na wieczór wraca i w domu śpi, chyba że pojedzie gdzie dalej, to tam gdzie w gospodzie przy koniach drzymie. Bo on koni nie opuści na krok, strasznie je lubi, czyści, smaruje, ogląda, nie siądzie na furę, jak co ciężkiego wiezie, jak to inni chłopi u nas, za to też nasze konie bardzo śliczne!

Dok. n. *Szczęsna.*



Spielhagen o teatrze nowoczesnym.

Aż do nowojorskiego miesięcznika *Cosmopolitan* posłał Spielhagen swój artykuł o nowoczesnym teatrze niemieckim.

Pierwszym autorem niemieckim, którego Spielhagen pokazuje czytelnikom amerykańskim, jest Ernest von Wildenbruch, ostatni bojownik za dramat klasyczny, jedna z najbardziej trwałych potęg literackich Niemiec zjednoczonych. Wildenbruch oparł swoją sławę na ścisłem zachowywaniu tradycji klasyków niemieckich. Oczywiście dziś zejść musiał na plan drugi, wobec zdemokratyzowania się teatru, wprowadzenia na scenę klas średnich i uboższych, a nawet pewnego zobojętnienia dla bohaterów dawnego repertuaru. Arystokrata z pochodzenia, syn dyplomaty, Ernest v. Wildenbruch, urodził się w Bayreuth w 1845. r., a spędził młodość swą w Atenach i Konstantynopolu. Następnie, ukończywszy studja prawne, wszedł do dyplomacji pruskiej, gdzie zajmuje dotychczas stanowisko radcy legacyjnego.

Wildenbruch jest istnym potomkiem starej rasy wojowniczej, ma w krwi pewien rozmach mityczny, a jego siła mityczna wybucha dopiero wówczas, gdy burza akcji scenicznej doszła do punktu kulminacyjnego, gdy osoby, występujące w dramacie, stają względem siebie w kolizjach gwałtownych. Nie znaczy to, aby dramaturg ten pisywał tylko dramaty rycerskie, które, nakształt »*Götza z Berlichingen*« Goethego, napełniły teatr niemiecki szczękiem zbroi i brzękiem ostróg. Wybór tematów dowodzi predylekcji do przeszłości, ale, jako pisarz, jest Wildenbruch człowiekiem najzupełniej nowożytnym, niezdolnym do patrzenia w przeszłość inaczej, jak tylko przez szkła teraźniejszości. To prawda, że na teraźniejszość spogląda zazwyczaj przez szkła przeszłości. Jest to — pisze Spielhagen — nietylko prawo poety, który bierze temat z przeszłości, ale jego ścisły obowiązek, bo w przeszłości, której żaden most nie łączy z teraźniejszością, ani poeta, ani publiczność nie znajdzie nic pożytecznego.

Bardzo często spotykały Wildenbrucha zarzuty z powodu właśnie tej właściwości talentu. Nazwano go dworakiem, bo w najnowszych swoich sztukach, w »Quisana« i w »Nowym panu« umieścił kilka aluzji i kilka proroctw, które łatwo można było zastosować do dynastji pruskiej. Ale, przyjmując zarzut, Wildenbruch może pod tym względem stanąć w dobrem towarzystwie, bo z czystem sumieniem ma prawo powołać się choćby na Szekspira.

Publiczność niemiecka niezawsze popiera naturalizm, często bardzo zwraca się do idealizmu, czego dowodem choćby znakomite powodzenie »Talizmanu« Fuldy. Sztuka ta, grywana niezliczoną liczbę razy wobec szczelnie zapełnionej widowni, nie jest niczem innem, jak uscenizowaną bajką czarodziejską, znaną z wersji Andersena, mianowicie opowieścią o królu, który nie miał odzieży. Czarodziejskość sztuki zmniejszył Fulda do najmniejszych rozmiarów, przedmiot zaś swój traktował z pierwszorzędnym dowcipem i znakomitem znawstwem tajemnic teatralnych. Ludwik Fulda jest zapalonym wielbicielem Szekspira, a powodzenie swoje zawdzięcza przeważnie zręczności, z jaką umiał przygotować publiczność do czarodziejskiego w sztuce pierwiastku, tak, iż żadne nieprawdopodobieństwo nie zdawało się rażącem. Urodził się Fulda we Frankfurcie nad Menem, z rodziny zamożnej, studja zaś świetnie ukończył w Berlinie. Liczy 32 lat wieku.

Autorem, który nienawidzi dawnego systemu sposobów i sposobików teatralnych oraz konwencji pomiędzy sceną a widzami, jest bez wątpienia

jeden z mistrzów teatru niemieckiego, Herman Sudermann.

Urodzony w r. 1857 w Prusiech wschodnich z rodziców ubogich, od bardzo młodych lat dążył Sudermann do rozwoju duchowego i fizycznego. Jest on wybitnym powieściopisarzem, a nawet sam zwykł mawiać o sobie, że talent jego tkwi przeważnie w powieściach i krótkich nowelach, nie zaś w teatrze. Nie trzeba jednak sądzić, że w tem określeniu pisarza niemieckiego tkwi owa skromność Paganini'ego, który, gdy zachwycano się jego wirtuozowstwem, zwykł był zapytywać: »A co myślicie o moich smyczkach?« Romanse Hermana Sudermanna są dziełami rzetelnej wartości literackiej, ale w pisarzu tym romansopisarz wart dramaturga, dramaturg romansopisarza. Zarówno w powieściach jak i dramatach widnieją: poezja, fantazja, głębokie poczucie natury, zręczność w zawiązywaniu intrygi, zawsze pewny i pełen siły rysunek charakterów, przedziwna giętkość języka, który dosięga z łatwością najwyższych szczytów myśli, a jednocześnie jest zdolny do zniżania się ku ziemi, ilekroć tego zachodzi potrzeba.

Dotychczas (Spielhagen pisał studjum swoje przed wystawieniem »Walki motyli«) napisał Suderman trzy sztuki: »Honor«, »Koniec Sodomy« i »Gniazdo rodzinne«. W pierwszej ze swoich sztuk zbliża pojęcie honoru nędzarzy do pojęcia mniejszości uprzywilejowanej i znajduje, że oba nic są nic warte, gdyż wystarcza dla nędzarza potrzeby, a dla bogacza zamiłowania do zbytku, aby z tak zwanego honoru zrobić masę elastyczną, przybierającą w zręcznych palcach formę żądaną.

Pod wieloma względami dwie następne sztuki Sudermanna przewyższają pierwszą; zwłaszcza »Koniec Sodomy«, zarówno przez zwartość intrygi, jak przez prawdę życiową jest wprost nieporównany. Sudermann pokazuje nam w tej sztuce upadek artystyczny i fizyczny młodego, utalentowanego malarza w zgubnej atmosferze otoczenia, w którym żądza zbytku niszczy wszelkie pierwiastki szlachetniejsze i toczy do szpiku kości zepsuciem. Na pierwszem przedstawieniu w Berlinie sztuka miała mierne powodzenie. Dlaczego? Dlatego, iż część publiczności, widząc na scenie tak bezwzględne przedstawienie swych najbardziej ukrytych słabostek, wyszła z teatru w najgorszym humorze. Widocznie wszędzie, nawet w teatrze, prawda w oczy kole...

Odważny pisarz rozgniewał na
»Końcu Sodomy« giełdę i plutokrac
dzie rodzinnem« maluje inną znów s
wicie niemieckich dygnitarzy cywiln
skowych. Mamy tu do czynienia ze s
kownikiem na emeryturze, który swoi
żytnymi przesądami kastowymi i zaśniedz
po honor doprowadza córkę sw
istnienie.

Z kolei przechodzi Spielhagen do Ottona Eryka Hartlebena, jednego z najmłodszych dramaturgów niemieckich, bo liczącego zaledwie 32 rok życia. Hartleben urodził się w maleńkiem miasteczku górniczem Chausthal, w górach Harzu. Sztukę pisarską odziedziczył po matce, autorce krótkich, ale prześlicznych nowel. Pierwszą sztukę swoją wystawił w berlińskim »Wolnym teatrze«, założonym na wzór podobnej instytucji paryskiej, druga »Anna Hager« przyjęta już była z odznaczeniem, bo znaleziono w niej wszystkie przymioty, charakteryzujące dramaturga nowej szkoły.

Kończy studjum swoje Spielhagen sylwetkami Maksa Halbe'a i Gerhardta Hauptmana.

Icek Harmider, felczer,

U ADWOKATA.

—∿—

Z monologów Klemen

(Dokończ

Jeszcze jest, panie a
pierwsze, że dokt
kalomel, co były w
że znaleźli na chłop
cięte bańki, co niby
wiada pan adwokat, c
że nie... Naprzód ten
pisane, nie jest wc
burzliwy proszek.
więc ja mu dałe
szafki... Papier
w taki, jaki
pisane. O a
pewny... S
kiedy to
adwoka
sodę
sen
d
s
p

tego nie zrobić? Przecież miałem kartkę od doktora z drugiego miasteczka. Niech pan adwokat się przekona: »Proszę postawić Wojciechowi Bałabanowi pięćdziesiąt dwie (Nr. 52) bańki cięte na plecach. Dnia... doktór B.« Stoi wyraźnie jak bik. Pan adwokat się śmieje i powiada, że zna dobrze pismo doktora B. i że to jest kartka sfałszowana... Może być; ale dla mnie to była kartka od doktora; sam Bałaban mi ją dał, a na kartce nie stało, żebym ja szukał na niej fałszu, bo ja nie jestem sąd, — tylko stało, żebym postawił bańki, jako felczer... To jest mój fach. Djabli wiedzą, może ta kartka nie jest prawdziwą, może ona nawet całkiem fałszywa... nawet teraz, jak mi pan adwokat powiedział, to już jestem prawie pewny, że fałszywa; ale co ja temu winien? Owszem, niech łapią fałszownika, niech go wpakują do kozy!... Kto sfałszował? — Wojtek; ale że Wojtek nie żyje, niech szukają dalej, niech biorą Wojtkowę, — to cyganka, paskudna baba; można śmiało powiedzieć, że ona tylko fałszem żyje... Oj, oj, proszę pana adwokata, jakie teraz czasy! jaki teraz świat!... co się z chłopami porobiło? Dawniej ich było można oszukać, dziś oni wszystkich oszukują... Kto
żeby chłop fałszerstwem się trud-
handlują fałszowanem mlekiem,
; teraz już fałszują nawet
co mnie do tego?... Ja nie
ani obrońca Wojtkowej;
Wojtek, a skąd Woj-
owej pytają. Ja tylko
spokojnie żyć. Mam
pana adwokata...
chę nadziei? Pierw-
oć felczer jestem, nie
instancji kto umarł!
em jeszcze kawałek
je świadki pewne,
oszukaństwa nie
pięknie gada.
pan adwokat
am do nóg...

a).

vo...

Doktór powie, co ja jestem truciciel, co utrzymuję u siebie materjały apteczne, piszę recept... on powie... albo ja wiem? on może powiedzieć, że ja kogo zabiłem na gościńcu, żem konia ukradł, żem komu stodołę podpalił... On wszystko może pleść — ale ja myślę, że pan adwokat wytłumaczy jemu, że w kodeksie stoi cały artykuł o potwarz i o dyfamację, i że za taki interes można też do kozy pójść. Zresztą, niech pan adwokat mówi, co chce, aby było git. Ja za moich świadków ręczę, to porządni obywatele: skoro raz się zgodzili, to nie zrobią zawodu ani oszukaństwa... Panie adwokacie, to jest czysta sprawa, jak szkło — w niej nie może być żadna dyferencja. O co chodzi? — o bańki i o plecy! Wielka rzecz! Co komu do tego? Czy to były sądowe plecy? czy doktorskie plecy? Nie, to były plecy Wojtkowe — Wojtek miał prawo zrobić z niemi, co sam tylko chciał... Co komu do Wojtkowych pleców?!

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Październik 1894.

Dalszy ciąg zbliżającej się do końca powieści Sienkiewicza »Rodziny Połanieckich« rozpoczyna zeszyt »Biblioteki«.

P. Naganowski pisze o utworach Marji Corelli (pseudonim panny Marion Mackay), nazywając ją poetką neochrystjanizmu w Anglji.

Kronika galicyjska cała jeszcze poświęcona jest sprawozdaniu z różnych działów wystawy.

W artykule p. t. »Światło i życie« rozpatruje prof. Nusbaum zależność jestestw organicznych od światła, wpływ tego potężnego czynnika na różnorodne procesy życiowe roślin i zwierząt, uwzględniając przytem nowsze zdobycze nauki, w tym zakresie dokonane.

P. K. R. Żywicki w dalszym ciągu swych szkiców, zawierających wrażenia z wystawy w Chicago, p. t. »W stepie pszennym«, podaje luźne wiadomości przeważnie o rolniczej kulturze w Ameryce.

P. Konopnicka rozpoczyna szereg szkiców »Na ostrzu
których pierwszy zawiera wiele trafnych uwag
o pracowniach malarzy.

»Materjały i notatki« podaje p. Askenazy
dotyczących głośnej w połowie zeszłego
wojewody lubelskiego Adama Tarły, który
śmiercią w pojedynku z Kazimierzem

p.